

ROZDZIAŁ I

Przez noc zimną i bezgłośną, w przestrzeni, bez końca i bez początku sunie skalna bryła. Uczepiona kurczowo orbity wokół Słońca, w pióropuszu galaktyki, pędzi nieświadoma celu tej wędrówki przez czas. Niesie na sobie lądy i oceany, i wszelkie życie, jakie w nich jest. Rośliny i zwierzęta. I ludzi. By mogli czuć się na niej bezpiecznie, otulono ją niewidzialną szatą, w której fałdach rodzi się niebo błękitne i obłoki. Gdzie deszcz i wiatr. Poza tym płaszczem oddzielającym życie od śmierci jest groza kosmicznej pustki. Są tam i inne planety, i inne galaktyki — ale jakże daleko jedna od drugiej!

Człowiek jest mądry. Dokonuje odkryć i wynalazków. Człowiek jest też ciekawy. Znalazł więc sposób, by zapuścić wzrok w obszary sobie nieprzeznaczone. Wysłał z Ziemi statki kosmiczne i sondy badawcze. I urządzenia, które nie obawiając się zimna, nieskończonych przestrzeni i ciszy są tam człowieka okiem i uchem.

Setki satelitów krążą po swoich orbitach, niesione siłą bezwładności lub utrzymywane pracą silników. Patrzą. Słuchają. Dokonują pomiarów zjawisk zachodzących poza ziemską atmosferą, w niej, a także na samej planecie. Rejestrują ogniska pożarów i ruchy wojsk, zmiany pogody i przebieg żył minerałów, migracje afrykańskich bawołów i wysychające rzeki. Ze swoich niebotycznych wysokości potrafią widzieć przez chmury, deszcze i mgły. Z dokładnością do jednego metra nawet.

Zapewne widzą więc ulice miasta, domy, a nawet ludzi. Spójrz w górę! Nie, przecież go nie zobaczysz; jest za daleko

na oczy twoje czy moje. Jednak on widzi nas. Jak siedzę nad ranem przy biurku i piszę te słowa, jak ty przewracasz się w łóżku z boku na bok dręczony snem, którego nie będziesz jutro pamiętał.

Twój sen, moje myśli — tego zobaczyć nie może. Aż tak wszechmocny nie jest. Ale wiele innych rzeczy widzi. Uwierz mi. Satelita nie ma sumienia, tak uważał Edward Murrow.

* * *

Wartość zlecenia szacuje się stosunkiem nakładu pracy i środków do wysokości wynagrodzenia. Mówiąc prościej — im mniej czasu poświęconego na tłumaczenie, im więcej kasy, tym lepiej. Oczywiście istnieją wyjątki — szczególnie pasjonujący temat albo wyjątkowa piła. Do której kategorii pasowała leżąca przed Maćkiem książka — jeszcze nie wiedział. Jedno było pewne — płacili dużo, wystarczy na skromne życie przez pół roku, a trzy tysiące zaliczki miał już w kieszeni. Termin na pozór rozsądny — prawie rok — powinien zdążyć opracować przyzwoity tekst. Niestety — opasłe tomiszczce liczyło osiemset stron, a temat — coś z historii, polityki, może filozofii — mógł sprawić pewien kłopot. *New Europe* napisał Ian Grossman, profesor historiozofii z Heidelbergu, sława w swojej dziedzinie i autorytet ruchów postępowych — jak podano na obwolucie. Maciek słyszał o nim po raz pierwszy. Ale nie ma co się dziwić — do tej pory tłumaczył kryminały i teksty techniczne. Tę pracę załatwił mu Darek. Oczywiście z zastrzeżeniem, że ma zostać ukończona w terminie, starannie i te pe, bo w końcu to wydawnictwo ZNIK, a nie jakaś niszowa drukarnia.

No dobra, należało to najpierw przeczytać. Nie miał ochoty zabierać się do tego o jedenastej wieczorem, ale wiedział, że i tak nie zaśnie — sąsiedzi dopiero rozkręcali się z imprezą,

a znając ich zwyczaje, zakładał, że metalowe brzmienia wy-
ciszą dopiero nad ranem.

Kwietniowa noc była pogodna. Pachniało ziemią wybu-
dzającą się z zimowego snu i świeżymi, lepкими jeszcze liśćmi.
Postawił na biurku dwulitrową colę w wiaderku z lodem, obok
popielniczkę i fajki. Mógł zabierać się do pracy. Przyjrzał się
książce. Objętość — zniechęcająca, temat — wielka niewiado-
ma. Zważył tomiszcze w ręku — dobre pół kilo. Otworzył na
stronie ze spisem treści. „Part I — The Roots”. Tytuły rozdia-
łów mówiły o ruchach społecznych, rewolucjach, Kościele,
masonach, prześladowaniach mniejszości. „Part II — Ripe-
ning Fruits” — sytuacja obecna, omówienie przemian socjolo-
gicznych w krajach Europy, utrata kierunków rozwoju, zamęt
poznawczy. „Part III — Ways”. Po wypunktowaniu słabości
współczesnej cywilizacji oraz zdiagnozowaniu przyczyn zja-
wiska, autor proponuje rozwiązania. Liberalizm gospodarczy,
samostanowienie jednostek, odrzucenie uprzedzeń, edukacja
pod kątem myślenia globalnego, a nie lokalnego.

Maciek jęknął i zatrzasnął książkę. Pomyślał, że przecież
nie jest jakimś pieprzonym męczennikiem, żeby w piątko-
wy wieczór katować się czymś takim. Wstał od biurka, colę
schował do lodówki, a wyciągnął czteropak Żywca i zszedł
piętro niżej.

Długo naciskał dzwonek, potem walił pięścią w drzwi,
a w końcu kopnął je dwa razy. Otworzył Miro w skórze na-
rzuconej na gołą klatę.

Muza była ostra i Maciek poczuł jak wibruje mu przepona.
Na niecałych czterdziestu metrach kłębił się jakiś nieprawdo-
podobny tłum ludzi. Skóry narzucone na wytatuowane torsy,
głowy ogolone na zero, dredy, bransolety w metalowymi ćwie-
kami. Panienki w skórzanych czarnych mini i glanach miały

włosy albo ostrzyżone przy skórze, albo jakieś fantastyczne gniazda w kolorze marchwi, bakłazana lub świeżo skrzepłej krwi. Dziewczyny wyginały się w rytm muzyki. Kolejne puste butelki lądowały na balkonie. Maciek też trochę potupał, depcząc czyjeś stopy, by w którymś momencie wylądować w ramionach zdrowo już nawalonej istoty płci żeńskiej w różowych legginsach. Pamiętał jeszcze, że padli razem na fotel obity pomarańczowym pluszem, i pomyślał, że jest mistrzem dobrych decyzji.

W sobotę rano obudził się z bólem głowy. Wspomnienie ubiegłej nocy podeszło do gardła mdłą falą. Ostrożnie odemknął oczy w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć. Takie poimprezowe poranki to fatalny moment na oglądanie kogokolwiek, a szczególnie dziewczyn, których imienia albo się nie pamięta, albo nawet się nie poznało. Na szczęście leżał we własnym łóżku, sam. Odetchnął z ulgą. Pokrzepiony tą konstatacją przyjął pozycję pionową i opuszczył stopy na podłogę, która zdawała się lekko kołysać. Zegarek pokazywał dziesiątą. No nic. Wczoraj się bawiliśmy, a dzisiaj do roboty. Jeżeli w najbliższym czasie miał intensywnie pracować, to powinien teraz zrobić zakupy, żeby potem nie odrywać się od tłumaczenia pod byle pretekstem. A zatem — zimny prysznic, śniadanko, czyli kefirek i mocna kawa i — w drogę. Po drugiej stronie ulicy był Carrefour, gdzie zwykle się zaopatrywał.

Na zewnątrz oślepiło go słońce. Ukłonił się sąsiadce dźwigającej siatki, ale chyba go nie zauważyła, szła z opuszczoną głową. W supermarkecie jak to w sobotę, tłum ludzi. Wziął koszyk i zapakował do niego jogurty, paczkowaną kiełbasę, ogórki konserwowe, sery i dwie bagietki. A, no jeszcze piwo, dwa czteropaki. Poszedł z tym do kasy. Ogonek klientów prze-

suwał się powoli. Do koszyka dorzucił jeszcze paczkę miętowej gumy. Zauważył, że ludzie zatrzymują się za kasami i zamiast wychodzić ze sklepu, zatrzymują się i spoglądają na wysoko zawieszony monitor.

To był któryś z kanałów telewizji, nie pamiętał potem — 1, TVN czy Info. Dziennikarz poruszał ustami z przejęciem, ale nie było nic słychać, bo wszystko zagłuszał panujący w sklepie gwar i muzyka dobiegająca z głośników. Na dole ekranu na czerwonym pasku przesuwiał się jakiś tekst. Stał jeszcze za daleko, żeby przeczytać. Kobieta obok krzyknęła.

— O, Boże!

Ludzie stali w milczeniu, nawet kasjerka zamarła z czytaniem kodów wpół drogi do butelki coca-coli. Jakies dziecko się rozdarło, ale natychmiast zostało uciszone surowym: Ci-cho! Takie to głupstwa rejestruje umysł. Ważnych rzeczy nie pamięta się tak dobrze jak właśnie takie duperele.

Zogniskował wzrok i wtedy udało mi się odczytać: „Delegacja do Katynia — samolot prezydencki — katastrofa — zginęli”. Co jest, do cholery?! Popatrzył po twarzach. Stężałe w jakimś ni to przerażeniu, ni to niedowierzaniu; w niektórych oczach błyszczały łzy. Jakoś nie od razu dotarło do niego, co to znaczy. Wczorajsze procenty jeszcze krążyły we krwi, ale już czuł, że stało się coś złego, bo nagle ogarnął go ziąb, jakby ktoś chlusnął mu w twarz lodowatą wodą.

„Delegacja zdążająca na uroczystości rocznicowe do Katynia... wszyscy zginęli... 103 osoby... prezydent Lech Kaczyński i jego małżonka Maria... uczestnicy delegacji...” Czyta się coś takiego, a i tak nie do końca rozumie. Takie rzeczy przecież się nie zdarzają, nie mają prawa. Zaświergotała komórka. Matka.

— Maciusiu — głos jej się łamał — wiesz, co się stało?

— Jestem w sklepie — powiedział — tu jest włączony telewizor...

— Nie mogę w to uwierzyć — zaszlochała.

— Mamo — nie wiedział co powiedzieć.

Usłyszał jak matka wyciera nos.

— Najgorzej z babcią — stwierdziła rzeczowo — wiesz, jaka ona jest... Nic nie mówi, ale...

Zakupy już jechały po taśmie. Położył banknot przy kasie.

— Dobrze — rzucił — zaraz przyjadę.

Chwycił pod pachę zieloną ekologiczną siatkę, która rozciągnęła się niebezpiecznie i ruszył biegiem do domu. Wziął lodowaty prysznic, spryskał się wodą toaletową i połknął czarodziejską hinduską tabletkę, która sprawiała, że oddech stawał się czysty jak u niemowlęcia. Dmuchanie w balonik wykazałoby oczywiście jego stan. Mógł teraz liczyć tylko na Opatrzność, która nie pozwoli, by takie nieszczęśliwe przypadki jak nadgorliwy policjant pokrzyżowały szyki człowiekowi zdążającemu dokąds w ważnej sprawie.

Zbiegł z dziesiątego piętra, nie czekając na windę i na osiedlowym parkingu odszukał błękitnego forda, zabytek z 67 roku, swoją dumę i miłość oraz skarbonkę bez dna. Odpalił bez trudu, bo chociaż nadwozie wciąż jeszcze wymagało renowacji, to mechanika — igła. Z Raławickiej skręcił w Aleję Żwirki i Wigury i pomknął w stronę Śródmieścia. Umysł miał jak brzytwa. Gdyby teraz mógł zabrać się do pracy! Jednak los chciał inaczej.

Włączył radio. To była jedyna wiadomość. Mówili, że samolot spadł, bo pomimo mgły pilot zdecydował się lądować. Podchodził do lądowania cztery razy. Wszyscy zginęli, nie było co zbierać. Straszna rozwałka. Może, może mgła, może

błąd pilota, tak, to najbardziej prawdopodobne. Kogoś zidentyfikowali, ale nie na pewno. Nasi eksperci już w drodze.

W Alejach Jerozolimskich udało mu się zaparkować przed dziewiętnastowieczną kamienicą, w której mieszkali rodzice. I babcia. Z mrocznej bramy wszedł do klatki schodowej i po marmurowych schodach o krawędziach wygładzonych stopami kilku pokoleń wspiął się na drugie piętro. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła matka z twarzą ściągniętą smutkiem.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała już w progu. — Babcia z nikim nie chce rozmawiać, więc pomyślałam, że może ty...

Był jedynym wnukiem i więź między babcią a nim zawsze była silna, więc przypuszczenie nie było pozbawione podstaw.

— Gdzie jest? — zapytał.

— U siebie.

Obszerny apartament z osobnym wejściem kuchennym podzielono po wojnie na dwa mieszkania. Ojciec Maćka, obdarowany przez los talentem do wszelkiego majsterkowania, bardzo praktycznie urządził część przydzieloną ich rodzinie. W ten sposób mieli i sypialnię rodziców, i nieduży salon, i poikoik dla Maćka. Babci zostawiono służbówkę od strony kuchni, tak że miała osobne wejście i nie musiała, jak powiadała — płatać się nikomu pod nogami. Jednak oba mieszkania łączyły też drzwi wewnętrzne, z których korzystano najczęściej. Taki układ dawał wszystkim poczucie niezależności a zarazem bliskości — „w razie czego”.

Zapukał do drzwi po prawej stronie wąskiego ciemnego korytarza.

— Wejdź po prostu — poradziła matka — babcia może nie słyszeć.

„Akurat — pomyślał — jak będę miał osiemdziesiąt lat, to chciałbym mieć taki słuch i wzrok jak ona”. Nacisnął jednak klamkę i wszedł, zamykając za sobą przejście między dwoma światami. Wewnątrz panował półmrok. Okno pokoju wychodziło na podwórko studnię i słońce tutaj nie docierało. Zanim przyzwyczał wzrok, poczuł niemal nieuchwytny zapach Weil de Weil, babcinych perfum. Przypląnęły obrazy z dzieciństwa, którego babcia stanowiła niekwestionowane centrum. Spacer w Ogrodzie Saskim, Muzeum Wojska Polskiego, teatrzyk kukielkowy, czytane na głos książeczki. I jej ręce mocne i delikatne zarazem, z dwiema obrączkami na serdecznym palcu prawej dłoni. Jedna od dziadka, a tamta druga, cieniutka srebrna po kimś, kogo babcia nie wspominała chyba nigdy.

— Wejdz — usłyszał dźwięczny i mocny głos — nie skradaj się tak.

Zbliżył się do fotela ustawionego tyłem do okna i pochylił nad starannie ułożoną siwą fryzurą. Pocałował babcię w suche policzki pachnący dobrym pudrem.

— Piłeś — stwierdziła.

— Babciu, skąd — zaparł się odruchowo.

— Nie kłam — ucięła — ja i tak wiem, choćbyś nie wiem co robił. Mężczyźni... — westchnęła bez większego przejęcia.

— Siadaj tam, na kanapie.

Zastanawiał się, czy alarm, jaki podniosła matka nie był trochę na wyrost. Babcia wydawała się absolutnie spokojna. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Domyślam się, że matka znowu histeryzowała i dlatego tu jesteś.

Babcia należała do pokolenia, które tresowano w poczuciu obowiązku, samodyscyplinie i dobrych manierach. Dlatego jakiegokolwiek emocje wyrażane otwarcie, zamaszyste gesty,

intymne zwierzenia oraz pałętanie się po domu w szlafroku czy nie daj Boże w bieliźnie uznawała za symptomy moralnego upadku i społecznej deklasacji. *Noblesse oblige*. To mogło wydawać się śmieszne, dopóki nie okazywało się, że w rodzinnych sytuacjach kryzysowych to babcia potrafi utrzymać okręt na powierzchni i zapanować nad wzburzonymi żywiołami. Matka ze swoim emocjonalnym stosunkiem do rzeczywistości była jej przeciwieństwem. Dzięki temu żyły względnie bezkonfliktowo, pobudzając się nawzajem i uzupełniając — zależnie od sytuacji. Drzwi raz otwierały się, raz zamykały, ale kontakt między światami nigdy nie zamarł.

— Siadaj — powtórzyła trochę cieplej, jakby usłyszała jego myśli.

Usadowił się na starej pluszowej kanapie, której przetarcia pieczęlowicie osłonięto szydełkowymi serwetkami.

— Jak chcesz pić, to w kuchni stoi woda mineralna. I sok z ogórków — parsknęła cichym śmieszkciem.

Postawił na stoliku przy kanapie butelkę, słoik z kiszonymi ogórkami i wysoką szklankę.

— Słuchaj mnie — babcia jak zwykle przechodziła od razu do rzeczy. — Już wiesz, co się stało — stwierdziła. Przytaknął. — Nie wiesz tylko, że tym samolotem leciała Jadzia.

Wciągnął głośno powietrze i wypuścił je dopiero, kiedy poczuł, że zakręciło mu się w głowie. A więc to była taka sprawa! Jadzia, najlepsza babci przyjaciółka. Znały się od dzieciństwa, czy wczesnej młodości. Obie przeżyły okupację w Warszawie, obie były łączniczkami w czasie Powstania Warszawskiego, widziały rzeczy potworne wtedy i później. I przetrwały. Obie. Nie miał tego szczęścia pierwszy mąż babci, brat Jadzi. Zginął w Powstaniu albo może już po wojnie — tego Maciek nie wiedział, jakoś się o tym nie wspominało — aż dziwne to

było, jak tak się zastanowić. A więc Jadzia. Pulchna, zawsze wesoła Jadzia.

— Tak, Jadzia — westchnęła babcia.

Ich rozmowa mogłaby postronnemu wydać się dziwna. Babcia odpowiadała na myśli niewyrażone na głos. Ale tak było zawsze. Rozumieli się bez słów.

— Tak marzyła o tym wyjeździe, tak się szykowała. Chciała pomodlić się na katyńskim cmentarzu za duszę ojca. Po raz pierwszy. I uważała, że teraz sprawy idą ku dobremu, że wreszcie ci, których sowieci tam pomordowali, zostaną godnie uczczeni i prawda objawi się światu. Zawsze była taką niepoprawną optymistką — parsknęła z irytacją.

Widział teraz już wyraźnie twarz babci, spokojną, bez śladu emocji. Nawet wargi pociągnęła szminką jak zawsze — żadnych ustępstw. Maciek poczuł, że chciałby ją przytulić, pocieszyć; wiedział, co mogła czuć, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jednak nie zrobił nic. To by się jej nie spodobało.

— Babciu — zaczął i umilkł, no bo co można powiedzieć w takiej chwili. — To straszne, co się stało, taki potworny wypadek.

— Żaden wypadek — rzuciła sucho. — To był zamach. Zamordowali ich jak tamtych.

— Babciu, no co ty... — zdumiał się.

— Oczywiście, to jasne jak słońce. O ile ktoś potrafi myśleć, to wie — powiedziała spokojnie. — Zobaczysz, prawda musi wyjść na jaw. Ale na razie będą was zwodzić, kręcić, wymyślać różne powody, dla których to się stało.

Słuchał z rosnącym zdumieniem. Może jednak przecenił przytomność umysłu babci. Opowiadała rzeczy niestworzone.

— Wiem, że teraz uważasz mnie za wariatkę. Nie kłam — napomniała go, kiedy pokręcił głową w nieszczerym prze-

czeniu. — Jeszcze zobaczysz, tylko miej uszy i oczy otwarte. Mówię ci to, bo jesteś inteligentny i masz serce na swoim miejscu. Kiedyś prawda wyjdzie na jaw — powtórzyła — może też trzeba będzie jej trochę pomóc.

Słuchał wstrząśnięty.

— Z nimi nie ma co o tym rozmawiać — ruchem głowy wskazała drzwi. — Matka wierzy tylko w to, co jej pokażą w telewizji, a ojciec... — machnęła ręką.

Babcia nie mogła darować swojemu synowi, że ponad dwadzieścia lat temu poddał się rezygnacji i zgorzknieniu, że złożył broń. Dla niej to był rodzaj zdrady.

— Oczywiście, w pierwszej chwili powiedziałam im co myślę i jak ci się zdaje? Mamo, co też mama — przedrzeźniała głos matki, tak że Maciek się uśmiechnął. — To straszne, że Jadzia zginęła, ale żeby takie rzeczy mówić, przecież podawali, że mgła, że pilot, że... Boże, tylu głupców na świecie. Mają przed oczami konia, a mówią wół. Dlatego wróciłam do siebie, bo już nie mogłam słuchać tych bzdur i stąd ten alarm.

Patrzył na nią bez słowa. Spojrzenie miała jasne, przytomne i jeszcze coś w nim było. Na pewno nie rezygnacja.

— Wiem, że mi współczujesz — powiedziała łagodnie — ale teraz nie możesz nic dla mnie zrobić. Przez takie rzeczy człowiek musi przejść sam — urwała. — Wiem, że jesteś dobrym chłopcem i można na ciebie liczyć. Dlatego proszę cię — bądź czujny i nie daj sobie mydlić oczu, a wszystko będzie dobrze. A teraz idź już, chcę zostać sama.

Odwróciła twarz do okna. Wstał. Wydało mu się, że plecy babci zdrząły. Wiedział, że nie powinienem tego oglądać, że ona tego sobie nie życzy, więc tylko cicho zamknął za sobą drzwi. Może usłyszał zza nich cichy szloch, a może nie.

Wszedł do salonu. Matka siedziała na kanapie.

— Chodź tutaj, Maciusiu, usiądź na chwilę.

Pokój był jasny, bo od ulicy i przez uchylony lufcik wdzierał się uliczny hałas, od którego Maciek odwykł, mieszkając przy małej ulicy na Ochocie.

— Co z babcią? — oczy miała zapuchnięte i czerwone.

— W porządku, jakoś to ogarnia, znasz ją — uspokoił ją.

— No właśnie — podchwyciła — to jest najgorsze. Przecież takie tłumienie emocji to najgorsza rzecz, z tego biorą się choroby, a przecież babcia ma słabe serce.

— Ona ma ten temat inne zdanie — uśmiechnął się.

— No tak, tak — pokiwała głową — na babcię nie ma mocnych. Można się tylko pogodzić z jej uporem.

— Co poza tym u was słychać? — Nie widzieli się od kilku tygodni.

— A nic, to co zawsze. Ja na dwa etaty, gabinet i przychodnia, czasami to już gonię resztką sił. A ojciec tylko w zakładzie siedzi, a jak już jest w domu, to niewiele z niego pożytku. Zaszywa się w tym swoim kącie i ciągle coś dłubie.

— Zajrzę do niego — wstał.

Roman wygospodarował sobie kawałek miejsca przy oknie, w dawnym pokoju Maćka. Teraz odkładano tu mniej potrzebne rzeczy i stała deska do prasowania. Biurko zavalone było maleńkimi puszcawkami farb i modelami, nad którymi akurat pracował. Cała kolekcja gotowych już żołnierzy mieściła się w szklanej witrynie w rogu pokoju.

— Cześć, tato.

Roman odwrócił się do syna, zdjął okulary i uśmiechnął się.

— O, Maciuś, nie wiedziałem, że przyszedłeś — ucieszył się. — Teraz zaczynam robić II Korpus, uzbrojenie, wszystkie detale, świetna sprawa. Angielskie modele, metal. Dopiero położyłem podkład.

Maciek wziął jedną z figurek w dwa palce.

— No niezłe — pochwalił, czując się trochę jak rodzic chwalący dziecko. Ojciec nie potrafił zarazić go swoją pasją, która od kilkunastu lat wypełniała mu każdą wolną chwilę. Trudno było dziwić się Małgorzacie.

— Byłem u babci. — Maciek odstawił żołnierzyka na miejsce.

— A, tak — odparł ojciec z roztargnieniem. — To dla niej straszny cios. Były z Jadzią jak siostry. No, ale babcia jakoś to przeżyje, nie takie rzeczy w życiu ją spotykały. Teraz opowiada niestworzone historie, ale to jej przejdzie.

— O zamachu? — upewnił się Maciek.

— Daj spokój — Roman parsknął z irytacją — trudno słuchać takich bzdur.

— Jesteś pewien, że to tylko bzdury? — zapytał trochę z przekory.

— Mieję trochę zdrowego rozsądku — Roman nałożył okulary i wziął do ręki cieniutki pędzelek — przynajmniej ty.

Co jeszcze można było dodać?

— No to lecę, tato — powiedział Maciek.

— Nie zostaniesz na obiedzie? — zapytał ojciec, nakładając w skupieniu cieniutką warstewkę błękitnosiwej farby.

— Nie, mam pracę. Duże tłumaczenie.

— Powodzenia — mruknął Roman.

Za drzwiami dopadła Maćka zatroskana matka.

— No i co?

— W porządku, maluje.

— Aha — uspokoiła się, jakby podejrzewała, że mąż mógłby zajmować się czymś niebezpiecznym dla zdrowia. — Zostaniesz na obiad?

— Nie mogę, mam pracę, tłumaczenie.
— Szkoda — westchnęła — wpadnij w przyszłym tygodniu.
— Dobrze, postaram się — obiecał, całując ją w policzek. Odprowadził go do drzwi. W korytarzu nie było światła.
— Żarówka się przepaliła — stwierdziła. — Ojciec ma wymienić.

— To dobrze — powiedział — na pewno wymieni.
Dopiero w samochodzie uświadomił sobie, że nikt nawet nie zapytał go, nad czym będzie teraz pracował. U rodziców to była normalka. Ale babcia... Dopiero wtedy dotarło do niego, jaki dotknął ją cios.

W domu wyciągnął z lodówki zimne piwo i włączył telewizor. Na wszystkich kanałach to samo. Pasek u dołu ekranu z aktualnymi doniesieniami i reporterzy w studio omawiający przypuszczalny przebieg zdarzeń. Wciąż nie było wiadomo nic pewnego. Podawano już inną godzinę katastrofy niż wcześniej. Nie 9.40, tylko 8.15, a może 8.25 albo 10.15. Jedni podawali czas polski, inni — miejscowy czyli smoleński, co wprowadzało dodatkowe zamieszanie. Ciągłe powtarzał się motyw niespodziewanej, wyjątkowo gęstej mgły. Piloci kilka razy podchodzili do lądowania. Cztery, a może dwa. To był błąd. Nie widzieli pasa. Nie reagowali na polecenia z wieży kontroli lotów. Proponowano im inne lotniska, ale się uparli. Nie chcieli do Mińska ani do Moskwy. Nawet się nie odzywali od pewnego momentu. *Wsie pogibli* — mówiła zapłakana lekarka czy felczerka. Nie było co zbierać — kiwali głowami faceci w mundurach. Kogoś zidentyfikowali. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jeszcze nie na pewno.

Od tych wiadomości, tak wielu, tak zmieniających się ciągle, wciąż nowych — robił się w głowie mętlik.